

**JOSEPH
CONRAD**

U KRESU SIŁ

Joseph Conrad

U kresu sił

«Public Domain»

Conrad J.

U kresu sił / J. Conrad — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

I	5
II	7
III	12
IV	15
V	20
Конец ознакомительного фрагмента.	25

Joseph Conrad

U kresu sił

I

Gdy parowiec „Sofala” skręcił ku lądowi, niskie błotniste wybrzeże jeszcze długi czas wyglądało jak smuga ciemności ciągnąca się za pasem rozjarzonego blasku. Promienie słońca, padając z siłą na spokojne morze, rozbijały się o diamentową powierzchnię w migotliwy pył, w olśniewającą, świetlistą mgłę, która oślepiła oczy i nużyła mózg ruchliwym blaskiem.

Kapitan Whalley nie patrzył na morze. Siedział w obszernym trzcinowym fotelu, wypełniając go całkowicie swoją osobą; gdy serang¹ zbliżył się i powiedział zniżonym głosem, że trzeba zmienić kurs, kapitan podniósł się natychmiast i stał z twarzą zwróconą ku przodowi, podczas gdy dziób statku obracał się o ćwierć koła. Kapitan nie odzywał się ani słowem, nie wydał nawet sternikowi rozkazu, aby utrzymać ten sam kurs. Zamiast kapitana wymruczał rozkaz serang, podeszły wiekiem, zwinny, drobny Malaj o bardzo ciemnej skórze. A Whalley znów zasiadł powoli w fotelu na mostku kapitańskim i utkwiał oczy w pokładzie.

Nie spodziewał się ujrzeć nic nowego na owym morskim szlaku. Pływał wzdłuż tych brzegów już od trzech lat. Od Low Cape do Malantanu odległość wynosiła pięćdziesiąt mil; stary parowiec odbywał tę drogę w sześć godzin z prądem albo siedem przeciw prądowi. Potem sterowało się prosto na ląd i wkrótce trzy palmy ukazywały się na widnokręgu, wysokie i smukłe, stykające się rozczochranymi głowami, jakby powierzały sobie plotki o ciemnych zaroślach mangrowych². Dziób „Sofali” obracał się ku ciemnemu pasowi lądu; w pewnej chwili, gdy statek zbliżał się doń ukośnie, ukazywało się na wybrzeżu kilka jasnych, jakby lustrzanych odłamków; było to ujście rzeki, napełnione wodą po brzegi. Potem statek sunął przez brunatną ciecz – złożoną w trzech czwartych z wody i jednej czwartej z czarnej ziemi – między niskimi brzegami, złożonymi w trzech czwartych z czarnej ziemi i w jednej czwartej ze słonawej wody; dążył naprzód mozolnie, jak to czynił co miesiąc przez ostatnich siedem lat lub więcej, na długi czas zanim kapitanowi Whalleyowi przyszło na myśl, że będzie miał coś wspólnego z tym parowcem i jego podróżami nie podlegającymi nigdy zmianom.

Stary statek powinien był znać drogę lepiej niż jego załoga, z której nikt tak długo na „Sofali” nie służył; lepiej niż wiemy **serang** zabrany przez Whalleya z jego poprzedniego statku (zadaniem **seranga** było trzymanie wachty kapitańskiej); lepiej niż sam kapitan, który dowodził „Sofalą” zaledwie przez trzy ostatnie lata. Można było ufać parowcowi, że z kursu nie zejdzie. Jego kompas nie zawodził. W podróży nie było nigdy z tym statkiem kłopotu, jak gdyby jego sędziwy wiek dał mu wiedzę, mądrość i spokój. Przybijał do brzegu, nie odchylając się ani trochę od swego kierunku i trzymał się wyznaczonego czasu prawie co do minuty. Czy kapitan siedział na mostku z oczami wbitymi w pokład, czy leżał bezsennie w łóżku, mógł zawsze powiedzieć, gdzie się statek znajduje, oznaczyć dokładnie jego miejsce na szlaku, po prostu obliczywszy dni i godziny. Znał dobrze ten monotony objazd handlowego parowca, w górę i w dół przez cieśniny; znał jego rozkład, towarzyszące mu widoki, spotykanych po drodze ludzi. Najpierw Malakka; statek wchodził do portu w dzień i wychodził o zmierzchu, a potem przecinał niezmiennym fosforyzującym szlakiem ten wielki trakt Dalekiego Wschodu. Mrok i błyski na wodzie, jasne gwiazdy na czarnym niebie, czasem światła parowca w drodze do kraju, sunące w prostej linii środkiem traktu, to znów nieuchwytny cień tubylczego statku o żaglach z mat, mijający „Sofalę” szybko i cicho – rano zaś, po drugiej stronie cieśniny, płaskie wybrzeże. W następnym miejscu postoju, o południu, owe trzy

¹ *serang* (z hind.) – tubylczy bosman albo kapitan statku dowodzący załogą krajowców. [przypis edytorski]

² *zarośla mangrowe* – namorzyny, przybrzeżne zarośla słonowodne. [przypis edytorski]

palmy nad ospałą rzeką. Jedyny biały mieszkający w tej osadzie był człowiekiem młodym, dawnym marynarzem, z którym Whalley zaprzyjaźnił się w ciągu licznych podróży. Sześćdziesiąt mil dalej parowiec zatrzymywał się znów w głębokiej zatoce z paru domami na brzegu. I tak dalej w kółko; statek przybijał do brzegu i płynął w dalszą drogę, brał tu i ówdzie ładunek, a na zakończenie płynął spokojnie jakieś sto mil przez labirynt drobnych wysepek aż do rozległego miasta zamieszkanego przez krajowców. Stary parowiec wypoczywał tam trzy dni, zanim wyruszał w odwrotnym kierunku, oglądając te same brzegi ze strony przeciwnej, słysząc te same głosy w tych samych miejscowościach, aż do swego macierzystego portu na wielkim wschodnim szlaku; w tym porcie statek zakotwiczył się prawie naprzeciwko ogromnej kamiennej budowli – urzędu portowego – i czekał na chwilę wyruszenia w ten sam objazd długości tysiąca sześciuset mil, objazd trwający dni trzydzieści.

Niewiele było w tym życiu rozmachu jak na kapitana Whalleya – Henryka Whalleya, zwanego Harrym Śmiałkiem – z „Kondora”, słynnego ongiś klipra³; niewiele rozmachu jak na człowieka, który obsługiwał sławne firmy, dowodził sławnymi statkami (kilka z nich było jego własnością); który dokonał sławnych podróży, był pionierem nowych dróg i nowych gałęzi handlu; który sterował po nie zbadanych jeszcze szlakach mórza Południa i oglądał wschód słońca z wysp nie oznaczonych na mapie.

Pięćdziesiąt lat służby marynarskiej, z czego czterdzieści na wschodnich morzach („terminowałem dość gruntownie”, mawiał z uśmiechem) sprawiło, że był zaszczytnie znany całemu pokoleniu armatorów i kupców we wszystkich portach, począwszy od Bombaju aż hen, tam gdzie Wschód stapia się z Zachodem na wybrzeżach obu Ameryk. Jego sława została uwieczniona – niezbyt wielkimi, lecz wyraźnymi głoskami – na mapach admiralicji. Była tam przecież, gdzieś między Australią a Chinami, wyspa Whalleya i rafa „Kondora”. Na tę niebezpieczną formację koralową słynny kliper nadział się kiedyś i tkwił tam przez trzy dni; kapitan na czele załogi jedną ręką wyrzucał ładunek za burtę, a drugą odpierał od statku całą flotyllę wojennych łodzi z dzikimi tubylcami. Ani wyspa, ani rafa nie istniały wówczas oficjalnie. W jakiś czas potem oficerowie jej królewskiej mości z parowca „Fusilier”, wysłani, aby tamten szlak zbadać, wybrali owe dwie nazwy w dowód uznania dla przedsiębiorczości człowieka i solidności statku. Poza tym każdy, kogo to interesuje, może stwierdzić w Skorowidzu Powszechnym (tom II str. 410), że opis „szlaku Malotuor Whalley” zaczyna się od słów: „Wygodna droga, odkryta w 1850 r. przez kapitana Whalleya na statku «Kondor»” itd., a kończy się gorącym poleceniem tej drogi skierowanym do żaglowców, wychodzących z portów chińskich w czasie od grudnia do kwietnia włącznie i kierujących się na południe.

Był to najczystszy zysk, jaki Whalley w życiu osiągnął. Nic nie mogło mu odebrać zdobytej sławy. Przebicie Kanału Sueskiego, jak wysadzenie tamy, wypuściło na Wschód roje nowych statków, nowych ludzi i nowe metody handlu. Zmieniło oblicze wschodnich mórza, a nawet ich ducha, tak że dawne doświadczenia kapitana Whalleya straciły wartość dla nowej generacji marynarzy.

W tamtych zamierzchłych czasach obracał kapitan Whalley wielu tysiącami funtów – własnych, i należących do jego mocodawców; zajmował się uczciwie, jak się tego od kapitana wymaga, sprzecznymi interesami armatorów, dzierżawców statków i akcjonariuszy. Nie stracił nigdy okrętu i nie zgodził się ani razu na niewyraźną transakcję; był jeszcze w pełni sił, przeżywszy okoliczności, które pomogły mu do zdobycia sławy. Pochował żonę (w zatoce Peczili), wydał córkę za człowieka, którego niefortunnie wybrała i stracił majątek więcej niż średni skutek bankructwa słynnego Towarzystwa Bankowego Travancore and Deccan, którego upadek wstrząsnął Wschodem jak trzęsienie ziemi. A teraz miał już sześćdziesiąt pięć lat.

³ kliper – rodzaj szybkiego żaglowca z XIX w. [przypis edytorski]

II

Dźwigał swoje lata dzielnie, a bankructwa się nie wstydził. Nie on jeden wierzył w trwałość Towarzystwa Bankowego. Ludzie, którzy w sprawach finansowych byli równie biegli jak on w sprawach nawigacji, pochwalali przezorność, z jaką rozporządził swymi kapitałami, i sami stracili wiele pieniędzy w olbrzymim krachu. Na tym jedynie polegała różnica między Whalleyem a tamtymi, że on stracił wszystko. A jednak nie wszystko. Pozostał mu z przepadłego majątku bardzo ładny mały bark⁴ „Piękne Dziewczę”; kapitan kupił go, aby mieć jakieś zajęcie, gdy się wycofa z pracy – kupił go „dla zabawy” – jak to sam określał.

Na rok przed wydaniem córki za mąż oświadczył jej najformalniej, że ma morza dosyć. Ale gdy młoda para osiadła w Melbourne, doszedł do przekonania, iż nie może czuć się szczęśliwy na lądzie. Był urodzonym kapitanem marynarki handlowej i żeglarstwo dla rozrywki nie mogło go zaspokoić. Musiał żyć w złudzeniu, że prowadzi wciąż interesy, a kupno „Pięknego Dziewczęcia” zabezpieczyło ciągłość jego życia na morzu. Przedstawiał bark znajomym w różnych portach jako swoje „ostatnie dowództwo”. Kiedy już będzie zbyt stary, żeby prowadzić statek, wycofa bark z obiegu i uda się na ląd oczekując śmierci, w testamencie zaś poleci, aby w dzień jego pogrzebu wyholowano statek na głębie i tam zatopiono go z honorami. Córka nie będzie miała o to żalu, że nie chciał, aby ktoś obcy dowodził po nim ostatnim jego statkiem. Wobec majątku, który miał jej zostawić, wartość pięćsettonowego barku nie miała żadnego znaczenia. Krzepki starzec opowiadał to wszystkim znajomym z żartobliwym błyskiem w oku; miał za wiele żywotności, aby oddawać się sentymentalnym żalom, czuło się jednak w tych słowach trochę smutku, gdyż kapitan wrósł mocno w życie; czerpał prawdziwą przyjemność w różnym jego odczuwaniu i z jego darów, z wysokiego szacunku, jakim się cieszył, z bogactwa, z miłości do córki i z obcowania ze swym statkiem, rozrywką samotnych, beczynnych dni.

Urządził sobie kajutę zgodnie ze swym wyobrażeniem o komforcie na morzu. Duża półka na książki (lubił bardzo czytać) zajmowała jedną ścianę; naprzeciw łóżka wisiał portret jego nieboszczki żony, płaskie malowidło olejne ciemne w kolorze; przedstawiało profil młodej kobiety o długim czarnym loku. Trzy chronometry⁵ tykały Whalleyowi na dobranoc i witały go przy obudzeniu, współzawodnicząc z sobą szybkością rytmicznych głosików.

Wstawał co dzień o piątej. Oficer z nocnej wachty, pijąc wczesną filiżankę kawy na rufie obok steru, wysłuchiwał przez duży otwór mosiężnego wentylatora wszystkich plusków, sapań i parsknięć zwierchnika przy myciu. Potem następował przeciągły, basowy pomruk Modlitwy Pańskiej recytowanej głośno, z powagą. Po upływie pięciu minut głowa i barki kapitana Whalleya wyłaniały się z wejściówki. Przystawał zawsze chwilę na stopniach, rozglądając się po widnokregu; patrzył w górę na ustawienie żagli i wdychał głębokimi haustami świeże powietrze. Dopiero wówczas wstępował na tylny pokład, odpowiadając na rękę podniesioną do daszka czapki majestatycznym i łaskawym: „Dzień dobry panu”.

Chodził po pokładzie sumiennie aż do ósmej. Z rzadka, nie częściej niż dwa razy na rok, musiał się posługiwać grubą laską podobną do maczugi; dolegała mu sztywność w biodrze – lekka reumatyczna przypadłość, jak sądził.

Poza tym nie znał żadnych cielesnych dolegliwości. Na odgłos dzwonka wzywającego na śniadanie schodził, aby nakarmić kanarki, nakręcić chronometry i zająć pierwsze miejsce za stołem. Naprzeciw tego miejsca wisiały wielkie fotografie córki kapitana, jej męża i dwojga małych dzieci o tłuściutkich nóżkach – jego wnuków; wszystkie fotografie były w czarnych ramkach wpuszczonych w klonową gródź kajuty. Po śniadaniu kapitan ścierał własnoręcznie ściereczką pył z tych fotografii

⁴ *bark* – trójmasztowy zagłowiec z ozaglowaniem rejewym na pierwszych dwóch masztach a gaflowym na ostatnim. [przypis edytorski]

⁵ *chronometr* – bardzo dokładny zegar stosowany w nawigacji. [przypis edytorski]

i odkurzał olejny portret żony miotełką z piór, wiszącą zawsze na małym mosiężnym haczyku obok ciężkiej złotej ramy. Następnie zamykał drzwi od kajuty oficerskiej i zasiadał na kanapce pod portretem, aby przeczytać rozdział z grubej Biblii kieszonkowej – jej Biblii. Ale trafiały się dni, kiedy zamiast czytać siedział jakie pół godziny z zamkniętą Biblią na kolanach, z palcem wsuniętym między kartki. Może przypominał sobie nagle, jak bardzo żona lubiła żeglować.

Była prawdziwym marynarzem i prawdziwą kobietą. Kapitan uważał po prostu za artykuł wiary, że nie istniało nigdy i nigdzie, ani na lądzie, ani na morzu, weselsze i miłsze ognisko domowe niż właśnie to pod tylnym pokładem „Kondora”; wielka kajuta oficerska jaśniała bielą i złotem, uwieńczona niewiędnącymi nigdy girlandami kwiecica jakby na wieczne święto. W środku każdej z drewnianych płyt grodzi kapitanowa wymalowała pęk kwiatów ojczystych, a ta praca pełna miłości zajęła jej cały rok.

Dla kapitana pozostało to na zawsze cudem sztuki, najwyższym osiągnięciem gustu i techniki malarskiej; co się zaś tyczyło starego Swinburne'a, pierwszego oficera, za każdym razem, gdy schodził na posiłki, stawał przejęty zachwytem nad postępującą wciąż pracą kapitanowej. „Po prostu chciałoby się powąchać te róże” – oświadczał, wciągając nosem lekki zapach terpentyny, przenikający w owych czasach jadalnię; z powodu tego zapachu (jak się później Swinburne przyznał) stary oficer zabierał się do jedzenia trochę mniej ochoczo niż zwykle.

Ale nic nie przeszkadzało rozkoszować się śpiewem pani Whalley.

– Pani kapitanowa to istny słowik, panie kapitanie – orzekł Swinburne z miną znawcy, wysłuchawszy do końca pieśni, którą się rozkoszował w skupieniu, pochylony nad lukiem świetlnym.

W piękną pogodę, podczas drugiej krótkiej wachty obaj mężczyźni słuchali tryków i rulad rozlegających się w kajucie przy akompaniamencie pianina. W dzień swoich zaręczyn kapitan napisał do Londynu po pianino, ale już przeszło rok byli po ślubie, gdy dotarło do nich, okrążywszy Przylądek Dobrej Nadziei. Przyszło w wielkiej pacy stanowiącej część pierwszego frachtu wysłanego bezpośrednio z Londynu do Hong-Kongu i zostało wyładowane w porcie – a było to wydarzenie, które ludziom krzątającym się dziś po ruchliwych bulwarach tego miasta wydaje się równie odległe i mgliste jak zamierzchłe wieki historii. Ale kapitan Whalley potrafił w ciągu półgodzinnej samotności przeżyć całe swe życie wraz z jego romantyzmem, jego idyllą i jego smutkiem. Musiał sam zamknąć żonie oczy. Odeszła spod sztandaru jak żona marynarza i w głębi ducha była marynarzem. Kapitan odczytał nad nią pogrzebowe modlitwy z jej własnej książki do nabożeństwa i głos nie załamał mu się ani razu. Podniósłszy oczy znad książki, zobaczył naprzeciw siebie starego Swinburne'a z czapką przyciśniętą do piersi; poorana, schłostana przez wichry, nieporuszona twarz oficera ociekała kroplami wody jak złom czerwonego granitu wśród ulewy. Stary wilk morski mógł sobie na płacz pozwolić, lecz kapitan musiał doczytać modlitwę do końca. Rozległ się plusk; a potem Whalley niewiele już pamiętał z tego, co się działo przez kilka najbliższych dni. Stary marynarz z załogi, władający dobrze igłą, uszył dla dziecka żałobną sukienkę z czarnej sukni matki.

Nie wyglądało na to, aby kapitan mógł kiedy zapomnieć – lecz życia przegrodzić tamą nie można, jak się przegradza ospały strumień. Życie wystąpi z brzegów i popłynie nad ludzką zgryzotą, zamknie się nad smutkiem jak morze nad martwym ciałem, bez względu na to, ile miłości poszło na dno. Ale świat nie jest zły. Ludzie okazali kapitanowi wiele dobroci, szczególnie pani Gardner, żona starszego wspólnika z firmy Gardner, Pattason i Sp., do której „Kondor” należał. Pani Gardner zaproponowała, że zajmie się małą, i we właściwym czasie zabrała ją do Anglii (była to wówczas podróż nie lada – nawet pocztą lądową) razem z własnymi córeczkami, aby dopełnić jej wychowania. Uplęnęło dziesięć lat, zanim kapitan Whalley znów zobaczył córkę.

Już jako malutka dziewczynka nie bała się złej pogody i prosiła ojca, aby ją brał na pokład; umieszczał ją na piersi pod nieprzemakalnym płaszczem, skąd się przyglądała, jak wielkie bałwany walały się na „Kondora”. Kotłowanina i huk fal zdawały się napełniać jej duszyczkę niewypowiedzianą

rozkoszą. „Marnuje się, powinna być chłopcem” – żartował kapitan Whalley. Nazwał ją Ivy⁶ ze względu na dźwięk tego słowa; pociągnęła go także jakaś niewyraźna asocjacja. Ivy opłotła się mocno wokół jego serca; pragnął, aby wspierała się zawsze na ojcu jak na potężnym filarze, i zapominał, póki była malutka, że z natury rzeczy Ivy wybierze sobie pewnie kogoś innego, aby wesprzeć się na nim. Ale tak kochał życie, że nawet kiedy ta chwila nadeszła, potrafił wyciągnąć zeń pewne zadowolenie, niezależnie od głębokiego poczucia straty.

Kupił bark „Piękne Dziewczę” chcąc zapełnić czymś swoją samotność i wkrótce potem wziął niezbyt korzystny ładunek do Australii tylko po to, aby zobaczyć córkę w jej własnym domu. Nie czuł się tam dobrze, lecz nie dlatego, że Ivy wspierała się teraz na kimś innym; po prostu przekonał się, iż wybrana przez nią podpora wygląda przy bliższym zbadaniu na „dość słabą tyczkę” – nawet pod względem zdrowia. Sztuczna uprzejmość zięcia jeszcze mniej przypadła Whalleyowi do gustu niż sposób, w jaki zięć obracał pieniędzmi, które Ivy dostała w posagu. Ale nie zdradził się ze swymi obawami. Tylko w dniu wyjazdu, gdy stał już przy otwartych drzwiach hallu trzymając ręce córki i patrząc spokojnie w jej oczy, powiedział:

– Ty wiesz, kochanie, że wszystko, co mam, należy do ciebie i twoich bąków. Pamiętaj, żebyś zawsze pisała do mnie otwarcie.

Odpowiedziała mu prawie nieznacznym skinieniem głowy. Podobna była do matki z barwy oczu, z charakteru, a także i z tego, że rozumiała go prawie bez słów.

Oczywiście była zmuszona do niego się zwrócić, a przy czytaniu niektórych jej listów kapitan Whalley podnosił białe brwi wysoko. Zresztą uważał, że możliwość zaspokajania wszystkich życzeń Ivy jest najpiękniejszą nagrodą jego życia. Pierwszy raz od śmierci żony odczuł pewną radość. Charakterystyczne było dla kapitana, że na skutek ciągłych niepowodzeń zięcia powziął dlań na odległość coś w rodzaju sympatii. Ten człowiek rozbijał się o brzeg tak nieustannie, iż byłoby po prostu niesprawiedliwością przypisywać to wyłącznie niedbałemu prowadzeniu statku. Tak, tak! Kapitan wiedział dobrze, jak się rzecz miała. Był to pech. Sam Whalley cieszył się szczęściem wprost niebывałym, ale widywał bardzo wielu dzielnych ludzi – nie tylko marynarzy – idących na dno jedynie dlatego, że mieli pecha, i dzięki temu umiał się poznać na złych symptomach. Z tych względów kapitan zaczął głęboko się zastanawiać, w jaki sposób zabezpieczyć najlepiej wszystko, co posiadał, gdy po wstępnej fali pogłosek (dosięgły go najpierw w Szanghaju) przyszedł wstrząs wielkiego bankructwa; minęły kolejne fazy osłupienia, niedowierzania, gniewu i kapitan musiał pogodzić się z faktem, że właściwie nie zostawi po sobie żadnego majątku.

I właśnie wówczas pechowiec w dalekim Melbourne, jakby czekał tylko na tę katastrofę, zaprzestał rujnujących go interesów i osiadł na lądzie – jako beznadziejnie chory w dodatku. „Nigdy już nie będzie mógł chodzić” – pisała jego żona. Po raz pierwszy w życiu lęk targnął Whalleyem.

Bark „Piękne Dziewczę” musiał teraz pracować z twardej konieczności. Nie chodziło już o utrzymanie na wschodnich morzach żywej pamięci o Harry'm Śmiałku ani o zaopatrzenie starego człowieka w pieniądze kieszonkowe i ubranie, z dodatkiem paruset pierwszorzędných cygar, na które przysyłano rachunek z końcem roku. Trzeba było zebrać wszystkie siły i wyzyskać statek, ile się tylko dało, wydzielając mu skąpo pozłoty na okazałe, lecz tandetne rzeźby zdobiące dziób i rufę.

Ta konieczność otworzyła oczy kapitana na zasadnicze zmiany, jakie dokonały się w świecie. Z dawnego życia Whalleya pozostały tylko tu i ówdzie znane mu nazwiska, ale przeminęło już wszystko, co znał dawniej – i rzeczy, i ludzie. Firma Gardner, Patteson i Sp. widniała jeszcze wciąż na ścianach składów wzdłuż nabrzeża, na mosiężnych tabliczkach i szybach w handlowej dzielnicy niejednego wschodniego portu, ale w spółce nie było już ani Gardniera, ani Pattesona. I nie było też dla kapitana Whalleya fotela i życzliwego powitania w prywatnym gabinecie; nie proponowano mu dobrego interesu jako dawnemu przyjacielowi, przez pamięć na usługi, które kiedyś wyświadczył. Mężowie panien Gardner siedzieli przy biurkach w tym samym pokoju, do którego kapitan mógł

⁶ Ivy – imię znaczące (ang.: bluszcz). [przypis edytorski]

zawsze wejść za czasów poprzedniej dyrekcji, choć już od dawna rzucił posadę w firmie. Statki spółki miały teraz żółte kominy z czarnym obramieniem i nie przymierzając jak tramwaje stosowały się do rozkładu wyznaczonych z góry podróży. Wiatry grudniowe i czerwcowe nic tych parowców nie obchodziły; kapitanowie ich, dzielni młodzieńcy (Whalley nie wątpił o tym), byli na pewno obznajmieni z wyspą Whalleya, ponieważ w ostatnich latach rząd umieścił latarnię morską o białym świetle u północnego krańca tej wyspy (z sektorem czerwonym nad rafą Kondora), ale większość z nich byłaby się zdumiała słysząc, że istnieje jeszcze Whalley z krwi i kości – starzec, który się błąka po świecie, usiłując wynaleźć tu i ówdzie ładunek dla swego małego barku.

I wszędzie było to samo. Znikli ludzie, którzy pokiwaliby głową z uznaniem, słysząc jego nazwisko, i którym honor nakazywałby coś uczynić dla Harry'ego Whalleya Śmiałka. Znikły okazje, które umiałby chwycić w lot; a wraz z nimi przepadło białoskrzydłe stado kliprów, co żyły wśród burzliwych, niepewnych wichrów, wyławiając wielkie fortuny z morskiej piany. W tym nowym świecie obcinano zarobki do ostateczności, nękanie kablogramami zbiedniałych dzierżawców statków na trzy miesiące przed terminem i obliczano dwa razy dziennie pustą przestrzeń w ładowniach; gdzież tu były szanse powodzenia dla człowieka błakającego się na los szczęścia wraz z małym barkiem – taki człowiek ledwie miał prawo istnieć!

Z każdym rokiem życie stawało się trudniejsze. Whalley cierpiał bardzo, że nie może posyłać córce więcej pieniędzy. Przestał w owym czasie palić dobre cygara, a nawet palenie lichszych cygar ograniczył do sześciu sztuk na dzień. Nie mówił Ivy nigdy o swych kłopotach, a ona nie rozwodziła się przed nim nad trudnościami walki o byt. Zaufanie, jakie czuli do siebie, nie potrzebowało wyjaśnień; głębokie porozumienie między ojcem a córką trwało wciąż, bez zapewnień o wdzięczności i bez wymówek. Raziłoby kapitana, gdyby nagle przyszło Ivy do głowy otwarcie ojcu dziękować; natomiast uznał za najzupełniej naturalne, gdy go zawiadomiła, że potrzebuje dwustu funtów.

Wprowadził bark pod balastem do portu macierzystego „Sofali”, aby starać się o jakiś ładunek, i tam go doszedł list córki. Nie ma co prawdy ukrywać, pisała Ivy. Jedynym dla niej ratunkiem byłoby otwarcie pensjonatu, który ma, zdaje się, dobre widoki. Dlatego też zdecydowała się szczerze ojcu powiedzieć, że z dwustu funtami w rękę mogłaby już coś rozpocząć. Kapitan rozerwał szybko kopertę na pokładzie, odebrawszy pocztę przesłaną przez okrętowego kupca; wręczono mu ją właśnie w chwili, gdy się zakotwiczał. Przeraził się po raz drugi w życiu i stał jak wryty u drzwi kabiny z listem w drżących rękach. Ivy chce otworzyć pensjonat! Dwieście funtów na początek! Jedyny ratunek! A on nie rozporządzał i dwustu pensami.

Przez całą tę noc kapitan Whalley chodził po rufie swego zakotwiczonego barku, zupełnie jakby miał przybić do lądu w złą pogodę, niepewny pozycji statku po wielu chmurnych dniach bez widoku słońca, księżyca i gwiazd. Wśród czarnej nocy migotały światła orientacyjne i nieruchome, proste linie latarni na wybrzeżu; naokoło zaś „Pięknego Dziewczęcia” padały na wodę redy⁷ drżące pasemka od świateł kotwicznych. Ale kapitan Whalley żadnych świateł nie widział, o świecie zaś przekonał się, że jego ubranie przemokło na wskroś od obfitej rosy.

Bark był już obudzony. Kapitan stanął, przesunął ręką po mokrej brodzie i znużonymi krokami zszedł tyłem z drabiny pomostu. Pierwszy oficer, wałęsający się sennie po pokładzie, zobaczył zwierchnika właśnie w chwili, gdy ziewał szerokim przedrannym ziewnięciem, i ze zdumienia zapomniał zamknąć usta.

– Dzień dobry panu – wyrzekł uroczyście kapitan Whalley, idąc do swojej kajuty. Lecz w drzwiach przystanął i nie oglądając się, powiedział: – Ale, ale, powinna tam być w schowku pusta drewniana paka. Chyba jej nie porąbali – co?

Oficer zamknął usta i spytał jakby w osłupieniu:

– Drewniana paka, panie kapitanie?

⁷ *reda* – akwen przed wejściem do portu. [przypis edytorski]

– Tak, duża płaska paka od tego obrazu, co wisi w moim pokoju. Niech pan każe ją wynieść na pokład i powie cieśli, żeby ją obejrzał. Może wkrótce będzie mi potrzebna.

Pierwszy oficer stał jak skamieniały, póki nie usłyszał, iż drzwi od kajuty kapitana się zatraskują. Kiwnął wówczas palcem na drugiego oficera i powiedział mu, że „coś się święci”.

Gdy zadzwoniono na drugie śniadanie, władczy głos kapitana Whalleya zahuczał przez zamknięte drzwi:

– Siadajcie, panowie, proszę na mnie nie czekać.

Zdumieni oficerowie usiedli na swych miejscach, zamieniając nad stołem spojrzenia i szepty. Jak to? Nie będzie jadł drugiego śniadania? A w dodatku całą noc włóczył się po pokładzie! Nie ma dwóch zdań, że coś się święci. Pod lukiem nad ich głowami, schylonymi poważnie każda nad swym talerzem, trzy druczane klatki skrzypiały, kołysząc się od skakania niespokojnych, głodnych kanarków. Z kajuty „starego” dochodziły odgłosy świadczące, że kapitan krząta się po niej spokojnie. Nakręcił metodycznie chronometry, odkurzył portret nieboszczki żony, wydobył z szuflady czystą koszulę i przygotowywał się w swój dokładny, nieśpieszny sposób do wyjścia na brzeg. Tego ranka nie mógłby nic przełknąć. Postanowił sprzedać swój bark.

III

Właśnie o tym samym czasie Japończycy poszukiwali na wszystkie strony statków europejskiej konstrukcji i kapitan Whalley nie miał trudności w znalezieniu nabywcy-spekulanta, który targował się zęb za zęb, ale zapłacił gotówką za „Piękne Dziewczę”, spodziewając się, że odprzeda statek z korzyścią. I tak się to stało, że kapitan Whalley schodził pewnego popołudnia ze stopni prowadzących do jednego z największych urzędów pocztowych Wschodu i trzymał w ręku niebieskawy pasek papieru. Był to kwit na list polecony, zawierający dwustofuntowy czek wysłany do Melbourne. Kapitan Whalley wetknął kwit do kieszeni w kamizelce, wyjął laskę spod pachy i ruszył w dół ulicą.

Szedł niedawno otwartym, nie uporządkowanym jeszcze traktem o prymitywnych chodnikach i miękkim pokładzie kurzu, który zaścierał całą szerokość jezdni. Ów trakt dotykał z jednego końca nędznej uliczki biegnącej wśród chińskich sklepów blisko portu, a z drugiego ciągnął się na przestrzeni paru mil przez niezabudowane tereny, pokryte miejscami roślinnością właściwą dżungli; dochodził aż do bramy wiodącej na dziedziniec Zjednoczonej Spółki Dokowej. Pospolite fronty nowych budynków rządowych przeplatały się z czarnym ogrodzeniem pustych parceli, a widok nieba zdawał się dodawać przestrzeni szerokiej ulicy. Była pusta; krajowcy unikali jej po godzinach pracy, jakby spodziewając się, że któryś z tygrysów, gnieźdzących się w sąsiedztwie nowych wodociągów na wzgórzu, przybiegnie galopką środkiem traktu, aby schwytać sobie na kolację chińskiego sklepikarza.

Idąc pustką wspaniale zarysowanej alei, kapitan Whalley nie wydawał się pomniejszony. Miał na to zbyt piękną prezencję. Jego samotna postać o wielkiej białej brodzie jak u pielgrzyma dążyła widać do jakiegoś określonego celu; w ręku trzymał grubą laskę podobną do maczugi. Z jednej strony ulicy stał nowy gmach sądu o niskim portyku bez ozdób, zaopatrzony w przysadziste kolumny na wpół ukryte za kilku starymi drzewami, które tam pozostawiono. Z drugiej strony boczne skrzydła nowego gmachu skarbowego kolonii dochodziły aż do chodnika. Kapitan Whalley, który nie miał teraz ani okrętu, ani domu, przypominał sobie przechodząc, że na tym samym miejscu – kiedy pierwszy raz przyjechał z Anglii – była wieś rybacka: kilka szałasów zbudowanych z mat wznosiło się na palach między błotnistą zatoką o poziomie wody zależnym od przyływu i odpływu a bagnistą ścieżką, która biegła dalej, wijąc się wśród splątanego gąszczu, gdzie nie było żadnych doków ani też wodociągów.

Kapitan Whalley nie posiadał już statku – a zatem i domu. A biedna jego Ivy tam daleko również domu nie posiadała. Pensjonat nie jest domem, choć może być środkiem utrzymania. Uczucia kapitana były dotkliwie urażone projektem pensjonatu. Stanowisko społeczne Whalleya dało mu to usposobienie prawdziwie arystokratyczne, nacechowane pogardą dla snobizmu i uprzedzeniem do niektórych zajęć jakoby uwłaczających ludzkiej godności. Osobiście wolał zawsze służbę na statku handlowym (gdyż jest to zajęcie uczciwe) niż kupno i sprzedaż towarów, zawód polegający w gruncie rzeczy na tym, aby kogoś nabrać przy targu – co w najlepszym razie jest próbą sprytu pozbawioną godności. Ojciec kapitana, emerytowany pułkownik ze Wschodnio-Indyjskiej Kompanii, posiadał bardzo małe środki poza swoją pensją, ale bardzo wysokie stosunki. Kapitan pamiętał z chłopięcych lat, jak często kelnerzy w gospodach, wiejscy przekupnie i różni inni ludzie tej kategorii mówili do starego żołnierza „panie hrabio”, sądząc z jego wyglądu.

Sam kapitan Whalley (byłby wstąpił do marynarki wojennej, gdyby ojciec go nie odumarł jako trzynastoletniego chłopca) wyglądał imponująco, niby stary admirał okryty sławą. Mimo to zgubił się – jak słomka w wirze strumienia – wśród roju brunatnych i żółtych ludzi wypełniających przecnicę, która przez kontrast z opuszczoną przez kapitana szeroką i pustą aleją wydawała się wąska jak ścieżka i kipiąca życiem. Ściany domów były niebieskie; chińskie sklepy rozwierały się niby jaskinie; stopy nieokreślonych towarów wysypywały się z mroku pod długim rzędem arkad, a ognisty, pogodny zachód słońca przesycał żarem środek ulicy przez całą jej długość niby odbłask pożogi. Ten odbłask padał na jasne ubiory i ciemne twarze bosego tłumu, na bladożółte plecy półnagich przepychających

się kulisów⁸, na strój wysokiego kawalerzysty Sikha⁹ o rozdzielonej brodzie i zabójczych wąsach, stojącego na straży przed bramą policyjnego budynku. Przepelniony tramwaj górował wysoko nad tłumem w czerwonej mgłę pyłu, płynąc ostrożnie wśród ludzkiego potoku, i trąbił bez przerwy, niby parowiec szukający drogi wśród mgły.

Kapitan Whalley wyłonił się jak nurek po drugiej stronie ulicy i w zacienionej pustce między ścianami zamkniętych składów zdjął kapelusz, aby ochłodzić czoło. Ze stanowiskiem gospodyni pensjonatu łączyła się pewnego rodzaju niesława. Mówiono o kobietach tego zawodu, że są chciwe, niesumienne, niegodne zaufania; kapitan ani myślał potępiać jakąkolwiek kategorię bliźnich – uchowaj Boże! – ale uważał, iż nie godzi się, aby ktoś z rodu Whalleyów był narażony na tego rodzaju podejrzania. Lecz nie odmawiał córki od jej projektu. Wierzył, że Ivy podziela jego uczucia, i było mu jej żal; polegał na jej zdaniu, a przy tym uważał za łaskawe zrządzenie losu, że raz jeszcze może jej pomóc; ale w głębi arystokratycznego ducha czuł, iż łatwiej by mu przyszło pogodzić się z tym, że jego córka zostanie szwaczką. Przypominał sobie coś niecoś z przeczytanego przed laty wzruszającego wiersza pod tytułem *Piosenka o koszuli*. Dobrze to komu pisać wiersze o ubogich kobietach. Wnuczka pułkownika Whalleya właścicielką pensjonatu! Brr! Włożył z powrotem kapelusz, przeszukał kieszenie i zatrzymawszy się, aby przytknąć zapałkę do końca taniego cygara, dmuchnął z goryczą obłokiem dymu na świat zawierający takie niespodzianki.

Jednego był kapitan pewien, mianowicie tego, że Ivy jest nieodrodnym dzieckiem mądrej matki. Teraz, kiedy już miał poza sobą rozdzierające pożegnanie ze statkiem, widział jasno, iż sprzedaż barku była krokiem nieuniknionym. Może poczucie konieczności od dawna już wzrastało w nim nieświadomie. Ale ona, hen tam daleko, odczuła widać intuicją ową konieczność i miała odwagę nie tylko stawić czoło prawdzie, lecz ją wypowiedzieć; dzięki tym samym zaletom matka jej dawała tak doskonałe rady.

Do tego dojść w końcu musiało. Całe szczęście, że Ivy przynagliła ojca do decyzji. Jeszcze parę lat i sprzedaż na nic by się już nie przydała. Z roku na rok kapitan wpadał w coraz gorsze tarapaty chcąc się przy statku utrzymać. Czuł się bezbronny wobec podstępów złego losu, którego jawnym atakom umiałyby się przeciwstawić; podobny był do skały opierającej się niewzruszenie otwartym napadom morza, a jednocześnie ignorującej wyniośle fakt, że fale ją podmywają zdradliwie od podstaw. Teraz zaś, po uregulowaniu wszystkich zobowiązań i po zadosyćczynieniu prośbie córki, została kapitanowi z tej transakcji suma pięciuset funtów, ulokowana bezpiecznie. Prócz tego miał przy sobie czterdzieści kilka dolarów – dość, aby zapłacić hotelowy rachunek, jeśli nie będzie mieszkał zbyt długo w skromnym pokoju, który zajmował.

Ów pokój o woskowanej posadzce, skąpo umeblowany, otwierał się na jedną z bocznych werand. Niesymetryczny budynek z cegły, przewiewny jak klatka, rozbrzmiewał łopotem zasłony z rotanu¹⁰, targanych przez wiatr bez ustanku. Zasłony te wisiały między białymi kwadratowymi filarami frontu zwróconego do morza. Pokoje były wysokie, po sufitach pomykały błyski słońca odbitego w wodzie. Tłumy turystów z pasażerskich statków zawijających do portu przebiegały raz po raz mroczne, omiatane wiatrem pokoje, napelniając je zgiełkiem obcych głosów; zaludniały hotel na krótko jak gromady wędrownych cieniów, skazanych na krążenie z zawrotną szybkością naokoło ziemi bez zostawiania po sobie śladów. Gwar tych najazdów ulatniał się równie szybko, jak powstawał; turyści znikali z leżaków na werandach i z przewiewnych korytarzy, po których biegali gorączkowo w pogoni za widokami; a kapitan Whalley, krzepki, majestatyczny, zostawał prawie sam w wielkim hotelu po każdym z tych beztroskich najazdów i czuł się coraz bardziej jak rozbitek-turysta nie mający przed sobą celu – jak zbłąkany, bezdomny podróżnik.

⁸ *kulis* – niskopłatny robotnik azjatycki. [przypis edytorski]

⁹ *Sikh* – wyznawca sikhizmu, religii indyjskiej łączącej elementy islamu i hinduizmu. [przypis edytorski]

¹⁰ *rotan* – także rotang bądź rattan, palma wykorzystywana m. in. do wyplatania mebli. [przypis edytorski]

W samotności swego pokoju palił zamyślony, patrząc na dwie marynarskie skrzynki, zawierające wszystko, co na tym świecie mógł nazwać swoją własnością. Gruby zwój map okrytych pokrowcem z żaglowego płótna stał w kącie pokoju, a płaska paka z olejnym portretem i trzema matowymi fotografiami znajdowała się pod łóżkiem.

Kapitan Whalley czuł się znużony omawianiem warunków, asystowaniem przy oglądaniu statku, całym zwykłym przebiegiem takiej transakcji. To, co dla jego kontrahentów było po prostu sprzedażą statku, stanowiło dla niego wielkie wydarzenie, pociągając za sobą radykalną zmianę życia. Wiedział, że po tym statku nie będzie już miał żadnego innego, a przecież wszystkie nadzieje jego młodości, możliwość wykonywania swego zawodu, wszystkie uczucia i czyny jego męskich lat były nierozdzielnie związane ze statkiem. Służył na statkach; bywał właścicielem statków; a nawet te lata, kiedy zerwał z morzem, osładzała mu jedynie myśl, że niech tylko wyciągnie rękę pełną pieniędzy, a będzie znowu miał statek. Mógł z łatwością się łudzić, że posiada wszystkie statki na świecie. Sprzedaż tego ostatniego przyszła mu bardzo ciężko, a gdy „Piękne Dziewczę” przestało już być jego własnością, kiedy podpisał ostatnie pokwitowanie, doznał wrażenia, że wszystkie okręty znikły naraz ze świata, zostawiając go na brzegu niedostępnych oceanów z siedmiuset funtami w kieszeni.

Szedł nieśpiesznie bulwarem, stawiając duże, stanowcze kroki i odwracał wzrok od redy tak dobrze mu znanej. Dwa pokolenia marynarzy, urodziły się od czasu, gdy spędził pierwszy dzień na morzu; dwa pokolenia stały między nim a tymi zakotwiczonymi statkami. Jego statek był sprzedany. Kapitan zadał sobie pytanie: „Co dalej?”

Z tego uczucia samotności, wewnętrznej pustki i bólu – bo miał wrażenie, że wyrwano mu duszę z ciała – wynikło przede wszystkim pragnienie, aby jechać natychmiast do córki.

– Oto mój ostatni grosz – powie jej – weź go, kochanie. I oto twój stary ojciec: musisz go także wziąć.

Wzdrygnął się w duchu, jakby przerażony uczuciem kryjącym się na dnie tego popędu. Poddać się? Nigdy! Kiedy człowiek jest zmęczony bez granic, różne głupstwa przychodzą mu do głowy. Ładny byłby to dar dla biednej kobiety, te siedemset funtów obciążone czerstwym starcem, który według wszelkiego prawdopodobieństwa mógł jeszcze żyć długie lata. Przecież kapitan potrafi umrzeć na posterunku nie gorzej od któregośkolwiek z młodzików dowodzących tamtymi zakotwiczonymi statkami. Czuł się również silny jak dawniej.

Ale kto mu da pracę? To była zupełnie inna sprawa. Gdyby zaczął chodzić i szukać miejsca drugiego oficera – ze swym wyglądem i swą przeszłością – nie braliby go ludzie poważnie; a gdyby zdołał ich przekonać, że potrzebuje zarobku, wzbudziłby może litość – co równałoby się zwleczeniu ubrania, aby się dać obić. Nie miał ochoty podjąć się pracy za psie pieniądze. Nie chciał przyjmować niczyjej litości. Ale z drugiej strony trudno było oczekiwać, aby dowództwo – jedyne stanowisko, o jakie mógł się ubiegać nie naruszając zwykłej przyzwoitości – czyhało na niego za zakrętem najbliższej ulicy. W dzisiejszych czasach dowództwa nie sypią się jak z rękawa. Od chwili kiedy wysiadł na ląd, aby przeprowadzić transakcję sprzedaży, nadstawał wciąż ucha, ale nie doszła go żadna wiadomość o wakującym dowództwie. A nawet gdyby coś się znalazło, cała świetna przeszłość kapitana stałaby mu na przeszkodzie. Zbyt długo był swym własnym zwierzchnikiem. Jedyne zaświadczenie, jakie mógł przedstawić, było to świadectwo całego życia. Czy można wymagać lepszego polecenia? Ale czuł niejasno, że ten jedyne dokument będzie uważany za osobliwy archaizm wschodnich wód, za świstek zapisany przestarzałymi wyrazami – w na wpół zapomnianym języku.

IV

Obracając w głowie te myśli, wałęsał się wzdłuż bariery bulwaru; szerokie jego plecy ani trochę nie były pochylone, jakby nie uczuły nigdy ciężarów, które człowiek musi dźwigać między kolebką a grobem. Spokojnych rysów kapitana nie szpeciła żadna zmarszczka, oznaka przeżytych zgryzot. Twarz jego była okrągła i wcale nie opalona; górna jej część pełna spokoju wyłaniała się ze spływającej srebrzystej brody. Cerę miał jasną, uderzająco delikatną i szerokie, potężne czoło. Pierwsze spojrzenie Whalleya padało na interlokutora niewinne i szybkie jak u chłopca, lecz dzięki nastrępiionej śnieżnobiałej strzesze brwi grzeczna jego uwaga nabierała cech bystrej badawczości. Z wiekiem trochę utył, powiększył swoją objętość jak stare drzewo, nie zdradzające żadnych oznak rozkładu; i nawet obfite fale białych włosów na jego piersi wydawały się oznaką niewyczerpanej żywotności i siły.

Był ongi dość dumny z wielkiej siły fizycznej i nawet ze swego wyglądu; świadom tego, co jest wart, nieugięty w prawości, zachował na zawsze, niby dziedzictwo po dawnych świetnych czasach, spokojny sposób bycia człowieka, który sprostał pod każdym względem wybranemu przez siebie życiu.

Szedł spokojnym i pewnym krokiem; jego stara szerokoskrzydła panama¹¹ o wąskiej czarnej wstążce miała niską główkę przeciętą głęboką fałdą od przodu aż do tyłu. Dzięki temu niezniszczalnemu, trochę spłowiałemu nakryciu głowy kapitan Whalley łatwo był dostrzegalny na zatłoczonych nabrzeżach i wśród ulicznego tłoku. Nie uznawał białych hełmów korkowych, które weszły w modę. Nie lubił ich kształtu i miał nadzieję, że do końca życia utrzyma się w formie bez pomocy tych wszystkich wynalazków ułatwiających higieniczną wentylację. Włosy strzygł krótko, bieliznę miał zawsze niepokalanej białości; ubranie z cienkiej popielatej flaneli, znoszone, lecz wyczyszczone starannie, spływało wzdłuż potężnych członków kapitana, powiększając luźnym krojem jego objętość. Wiek złagodził wesołą, spokojną śmiałość młodych jego lat, przeistaczając ją w beztroską pogodę; swobodny stuk okutej żelazem laski, uderzającej o płyty chodnika, towarzyszył jego krokom odgłosem zdradzającym pewność siebie. Niepodobna¹² było przypuszczać, aby człowiek o tak pięknej prezencji i niezmaconej pogodzie miał coś wspólnego z małostkowymi troskami, które wynikają z ubóstwa; zdawało się, iż całe życie Whalleya maluje się w jego postaci – życie łatwe, prowadzone na szeroka skalę, równie wygodne jak okrywające kapitana ubranie.

Nierozsądny lęk, aby nie naruszyć pięciuset funtów na osobiste wydatki w hotelu, mącił spokojną równowagę Whalleya. Nie było czasu do stracenia. Rachunek rósł coraz bardziej. Kapitan żywił nadzieję, że nawet gdyby go wszystko zawiodło, mógłby może z pomocą tych pięciuset funtów dostać jakąś pracę, a ta praca, dając mu środki utrzymania (niewiele by na nie wydawał), pozwoliłaby mu przyjść córce z pomocą. W swoim wyobrażeniu obracał jej, Ivy, pieniędzmi, nie zaś własnymi, i to wyłącznie dla jej korzyści. Kiedy dostanie pracę, będzie oddawał córce większą część zarobków; czuł się na siłach pracować jeszcze przez dobrych kilka lat, a cała ta historia z pensjonatem – rozważał – baz względu na to, jak się w przyszłości rozwinie, nie może być od razu kopalnią złota.

Ale jaką on pracę dostanie? Gotów był podjąć się każdego uczciwego zajęcia, byle tylko zacząć prędko zarabiać, albowiem owe pięćset funtów trzeba zachować nietknięte na wszelki wypadek. To było najważniejsze. Posiadając całe pięćset funtów czuł jakiś grunt pod nogami; lecz wydawało się kapitanowi, że jeśli pozwoli, aby jego kapitalik zmniejszył się do czterystu pięćdziesięciu, a nawet czterystu osiemdziesięciu funtów, pieniądze stracą całą skuteczność, jakby w okrągłości sumy była zawarta siła magiczna. Ale jakiego rodzaju pracę zdobędzie?

¹¹ *panama* – rodzaj letniego kapelusza z szerokim rondem. [przypis edytorski]

¹² *niepodobna* (daw.) – nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

Pytanie to prześladowało go jak niespokojny duch, na którego nie ma egzorcyzmu. Kapitan Whalley zatrzymał się nagle na środku stromego mostka łączącego dwa granitowe brzegi uregulowanego potoku. Morskie prau¹³ malajskie o spuszczonej rejach, zacumowane między kwadratowymi blokami kamienia, tkwiło na wodzie na wpół ukryte pod murowanym łukiem; na pokładzie, zasłoniętym od dziobu do rufy matami z liści palmowych, nie było śladu życia. Kapitan zostawił za sobą nagrzane chodniki obrzeżone kamiennymi barierami, które niby prostopadłe ściany skał wyginały się zależnie od linii bulwaru; rozległa przestrzeń starannie utrzymanego parku rozciągała przed nim wielkie płyty strzyżonej trawy jak gładkie zielone dywany rozpięte na gwoździach – oraz długie rzędy drzew, uszeregowanych w olbrzymie kolumnady ciemnych trzonów o sklepieniu z gałęzi.

Niektóre z tych alei ciągnęły się aż do morza. Wybrzeże opadało tarasami, a dalej, na gładkiej wodnej przestrzeni, głębokiej i połyskliwej jak spojrzenie ciemnobłękitnych oczu, ukośny pas nakrapiany purpurą ciągnął się w nieskończoność przez otwór dzielący dwie zielone bliźnie wysepki. Hen daleko, na zewnętrznej redzie, maszty i reje kilku statków o niewidocznych kadłubach wznosiły się prosto z wody delikatną płataniną różowych linii, rysujących się na cienistej smudze wschodniego brzegu. Kapitan Whalley ogarnął je długim spojrzeniem. Statek, który dawniej był jego własnym, stał tam również na kotwicy. Okropna była myśl, że nie mógł już teraz wsiąść z bulwaru do łódki i kazać się wieźć do niego, gdy wieczór zapadnie. Nie mógł już kazać się wieźć na żaden statek. I tak będzie pewno zawsze. Przed zakończeniem sprzedaży, póki nie odebrał jeszcze pieniędzy, spędzał co dzień kilka godzin na pokładzie „Pięknego Dziewczęcia”. Pieniądze wypłacono mu dziś rano i nagle poczuł, że nie ma na świecie statku, na którym by mógł znaleźć się każdej chwili; nie ma już statku, który by potrzebował jego obecności, żeby wykonywać swoją pracę – żeby żyć. Wydało mu się, iż taki stan rzeczy jest niewiarygodny, zbyt dziwaczny, aby mógł trwać. A morze pełne było statków wszelakiego rodzaju. Oto tutaj prau stoi bez ruchu, spowite w osłonę z plecionych liści palmowych – ono ma także swego człowieka, który jest dlań niezbędny. Żyją z siebie nawzajem, ten Malaj, którego kapitan Whalley nie widział nigdy na oczy, i ten stateczek o wysokiej rufie, zdający się wypoczywać po długiej podróży. A ze wszystkich statków na widnokręgu, i bliskich, i dalekich, każdy był zaopatrzony w człowieka, bez którego najpiękniejszy okręt jest rzeczą martwą, kłodą unoszącą się na wodzie bez celu.

Rzuciwszy na redę jedno jedyne spojrzenie, kapitan Whalley szedł dalej, ponieważ nie miał dokąd wracać, a trzeba było jakoś zabić czas. Aleje wielkich drzew biegnęły prosto przez Esplanadę, przecinając się pod różnymi kątami; pnie, wyglądające od dołu jak kolumny, rozrastały się bujnie. Splecione w górze gałęzie zdawały się drzemać; żaden listek nie drgnął nad głową; wysokie, smukłe latarnie z lanego żelaza, połączane jak berła i zmniejszające się w długiej perspektywie, stały na środku jezdnii dźwigając kule z białej porcelany; wyglądało to niby prymitywna dekoracja ze strusich jaj ustawionych rzędem. Rozpłomienione niebo zapalało drobną purpurową iskrę w każdej z połyskliwych, szklanych kul.

Kapitan Whalley szedł z głową trochę schyloną; ręce jego splecione na plecach trzymały laskę, która złobiła cienki falisty ślad za jego stopami. Rozmyślał o tym, że jeżeli statek bez człowieka jest jak ciało pozbawione duszy, marynarz bez statku niewiele więcej znaczy na tym świecie niż zbędna kłoda rzucona morskim falom na igraszkę. Taka kłoda może być zdrowa, krzepka, odporna na zniszczenie – ale cóż z tego! I nagle poczucie nieodwołalnej beczynności zaciążyło stopom kapitana jak wielkie zmęczenie.

Rząd otwartych pojazdów toczył się nad morzem po świeżo zbudowanym bulwarze. Poprzez rozległe gazony widać było wibrujące dyski szprych. Jasne kopuły parasolek kołysały się lekko nad powozami jak rozkwitłe kwiaty wychylone z brzegów wazonu; na tle spokojnej, ciemnoniebieskiej tafli morza, przeciętej pasem purpury, wirowały koła i konie przebierały szybko nogami, a głowy

¹³ prau – właśc. proa, łódka zagłowa z bocznym pływakiem ułatwiającym jej utrzymanie równowagi. [przypis edytorski]

służących Hindusów, wzniesione ponad linię horyzontu, sunęły po bledszym błękitnie nieba. Wśród otwartej przestrzeni w pobliżu małego mostka każdy z powozów, jadąc szybkim klusem, zataczał szeroki łuk i oddalał się od zachodzącego słońca, po czym stangret ściągał lejce i wjeżdżał w główną aleję. Pojazdy tworzyły długi rząd, który sunął powoli, zostawiając poza sobą rozległą, cichą czerwień nieba.

Pnie potężnych drzew miały czerwone piętna z jednej strony, powietrze zdawało się gorzeć pod wysokim listowiem, nawet ziemia deptana końskimi kopytami była czerwona. Koła toczyły się uroczyście; jedna po drugiej parasolki opadały, zwijając swe barwy jak wspaniałe kwiaty zamykające kielichy u schyłku dnia. W tym półmilogowym korowodzie ludzkich istot nie rozległo się żadne wyraźne słowo wśród lekkiego, głuchego gwaru, który mieszał się ze słabym pobrzękiwaniem uprząży, a nieruchome głowy i barki mężczyzn i kobiet siedzących parami wyłaniały się obojętne, jakby drewniane, z opuszczonych bud pojazdów.

Jakiś spóźniony powóz parokonnny nie dołączył się do szeregu. Sunął szybko na bezszelestnych kołach, lecz u wjazdu do alei jeden z ciemnych gnidoszów parsknął, wygiął szyję i skoczył w bok, napierając na dyszel o stalowym końcu; płat piany padł z wędzidła na atlasową pierś konia, a ciemna twarz stangreta natychmiast pochyliła się nad cugłami, ściągając je mocniej. Było to długie, ciemnozielone lando¹⁴ kołyszające się godnie i lekko na mocno wygiętych resorach; wyróżniało się pewnego rodzaju urzędowym majestatem i wyszukaną elegancją. Było jakby obszerniejsze niż zwykłe lando, konie wyglądały na trochę większe, zaprząg zbliżał się o włos bardziej do doskonałości, służący siedzieli wyżej na koźle. Suknie trzech kobiet – dwóch młodych, ładnych oraz damy w wieku dojrzałym, pięknej i zażywej – rzekłbyś, wypełniały po brzegi płytkie pudło wehikułu. Czwarta twarz, męska, blada i dystygowana, o ciężkich powiekach, odznaczała się ciemnym, gęstym, stalowosiwym wąsem oraz bródką napoleońską, które dziwnym sposobem wyglądały jak dodatki wykonane z czegoś twardego. Jego ekscelencja gubernator...

Ten sunący szybko wehikuł sprawił, że wszystkie inne wydały się czymś poślednim, jakby były przyćmione jego świetnością i skazane na mozolne pełzanie na kształt ślimaków. Lando wyprzedziło cały korowód, sunąc niby w pośpiechu, twarze siedzących w nim osób zatarły się, zostawiając wrażenie nieruchomych spojrzeń i obojętnej bezmyślności; a po zniknięciu landa, rzekłbyś, w pędzie ucieczki, choć długi szereg pojazdów objeżdżał zakręt stępa, perspektywa wysokiej alei wydała się pusta, bez życia, jakby pogrążona we wzniosłej samotności.

Kapitan Whalley podniósł głowę, aby spojrzeć na lando, i wyrwany z zadumy, zwrócił się myślą do spraw pozbawionych wagi (jak to często się zdarza), rozpamiętując je ze zdziwieniem. Uderzył go fakt, że do tego samego portu, w którym sprzedał ostatni swój statek, przybył na pierwszym własnym okręcie, z głową rojącą się od planów; chciał nawiązać nowe stosunki handlowe z odległą częścią archipelagu. Ówczesny gubernator zachęcał go do tego gorąco. Nie był ekscelencją ów pan Denham, dostojnik o zachowaniu pełnym prostoty, człowiek, który czuwał dzień i noc nad rozwijającą się pomyślnie osadą, oddany jej jak piastunka ukochanemu dziecku. Był to człowiek samotny, żył jakby w obozie z nieliczną służbą i trzema psami; mieszkał w tak zwanej wówczas willi rządowej – budowli o niskim dachu, stojącej wśród przetrzebionego lasu na pochyłości wzgórza; przed willą tkwił nowy maszt do chorągwi, a na werandzie przesiadywał dyżurny policjant.

Kapitan Whalley przypomniał sobie, jak siedł na audiencję, wspinając się mozolnie zboczem wzgórza pod piekącym słońcem; pamiętał pokój bardzo skąpo umeblowany, chłodny i zacieniony; pamiętał długi stół, na którego jednym końcu znajdowały się stosy papierów, na drugim zaś dwie strzelby, mosiężny teleskop, buteleczka oliwy z wetkniętym w nią piórkiem; pamiętał także pochlebny szacunek, z jakim go przyjął człowiek dzierżący władzę. Kapitan Whalley przyszedł opowiedzieć o przedsięwzięciu bardzo ryzykownym, lecz dwudziestominutowa rozmowa w willi rządowej na

¹⁴ lando – rodzaj powozu konnego. [przypis edytorski]

wzgórzu ułatwiła mu wszystko od samego początku. A gdy kapitan odchodził, Denham, siedząc już nad papierami, zawołał do niego:

– W przyszłym tygodniu „Dido” wyruszy na objazd w tamte strony; polecę kapitanowi urzędowo, aby do pana zajrzał i zobaczył, jak się tam panu powodzi.

„Dido” była jedną z pięknych fregat krążących po morzach Chin. Tak, trzydzieści pięć lat to porządny szmat czasu; przed trzydziestu pięciu laty przedsięwzięcie takie jak kapitana Whalleya miało dla kolonii tyle znaczenia, że zasługiwało na opiekę ze strony fregaty jej królewskiej mości. Dawno to już, dawno. Jednostki coś wtedy znaczyły. Ludzie tacy jak on i jak na przykład biedny Evans o czerwonej twarzy, kruczych bokobrodach i niespokojnych oczach – Evans, który założył pierwszą stocznię do naprawy małych statków na skraju lasu, nad samotną zatoką, trzy mile za osadą. Denham zachęcał go również do tego przedsięwzięcia, a jednak skończyło się jakoś na tym, że biedny Evans umarł w kraju w ostatniej nędzy. Mówiono, że jego syn zarabia na życie tłocząc olej z orzechów kokosowych na jakiejś zatraconej wysepce Oceanu Spokojnego; ale z tej to właśnie stoczni nad samotną lesistą zatoką wywiodły się warsztaty Zjednoczonej Spółki Dokowej z trzema basenami do czyszczenia okrętów, wykutymi w szczerzej skale, z mołami, bulwarami, elektrownią i olbrzymim dźwigiem. Ten dźwig mógł podnieść największe z ciężarów przewożonych wodą, a jego wierzchołek, podobny do szczytu dziwnego białego pomnika, sterczał zza porośniętych krzakami przyłdków i piaszczystych cyplów, gdy się podchodziło do Nawago Portu od strony zachodniej.

W tamtych czasach liczone się z ludźmi; nie spotykało się wtedy tak wielu pojazdów w kolonii, choć zdaje się, że Denham miał kabriolet. I naraz wydało się kapitanowi, że z wielkiej alei porywa go w przeszłość wir duchowego odpływu. Wspomnił błotniste wybrzeże, port bez bulwarów, jedyne drewniane moło sterczące koślawo (zbudowane ze składek publicznych), pierwsze szopy na węgiel, wzniesione na Małpim Przyładku, szopy, które się zapaliły w jakiś tajemniczy sposób i tliły całymi dniami, tak że zdumione statki wchodziły na redę pełną siarczanego dymu, a słońce o południu było krwawoczerwone. Wspomnił różne rzeczy, różne twarze i jeszcze coś innego poza tym – jakby nikły smak czary do dna wychylonej, jakby musujące subtelnie powietrze, którego już dzisiaj nie znaleźć.

Podczas tej ewokacji, szybkiej i szczegółowej, wywołanej jakby błyskiem magnezjowego światła rzuconego do mrocznej kaplicy wspomnień, kapitan Whalley oglądał rzeczy mające dawniej znaczenie – wysiłki małuczkich, rozrost wielkiego miasta – lecz teraz pozbawione wagi wobec wielkich osiągnięć i jeszcze większych nadziei; a wspomnienia te dały mu przez chwilę taki prawie fizyczny kontakt z czasem, takie zrozumienie niezmiennych ludzkich uczuć, że stanął jak wryty, uderzył laską o ziemię i wykrzyknął w duchu:

– Co ja u diabła tu robię!

Zapał jakby w oszołomienie; ale postyszał czyjś zasapany głos, wołający go po nazwisku raz, drugi – i z wolna się odwrócił.

Spostrzegł, że staromodnie ubrany mężczyzna, wyglądający na reumatyka, sunął ku niemu z władczą miną, przewalając się z boku na bok; włosy miał równie białe jak kapitan, kwitnące jego policzki były wygolone; sztywne końce krawatki, prawie tak dużej jak szalik, wystawały z dwóch stron daleko poza szczęki; cała postać o okrągłych nogach, okrągłych rękach, okrągłym korpusie, okrągłej głowie, wyglądała, jakby ją wydeło za pomocą pompy ssąco-tłoczącej, tak że szwy ubrania naciągnęły się do ostateczności. Był to komendant portu. Komendant portu, wyższy rangą od kapitana portu, to na Wschodzie osobistość mająca w swojej sferze znaczenie; jako funkcjonariusz rządowy na obszarze wód portowych posiada rozległą, lecz ściślej nieokreśloną władzę dyscyplinarną nad marynarzami wszelkiego rodzaju. Mówiono, że ów właśnie komendant portu uważał swoją władzę za bardzo niedostateczną, ponieważ nie obejmowała prawa życia i śmierci. Była to jednak żartobliwa przesada. Kapitan Eliott czuł się zadowolony ze swego stanowiska i nie miał nadmiernego wyobrażenia o przysługującej mu władzy. Ale jego zarozumiałość i skłonność do tyranii nie pozwalały, aby ta władza marniała mu w rękach bezużytecznie. W gruncie rzeczy lękano się go wskutek hałaśliwej, wybuchowej szczerości jego komentarzy o charakterze i zachowaniu ludzi. W rozmowach niektórzy

udawali, że nic przeciw niemu nie mają, inni uśmiechali się kwaśno, gdy wymieniano jego nazwisko, a byli nawet tacy, którzy śmieli go nazywać „starym wścibskim brutalem”. Lecz prawie dla wszystkich wybuchy złości kapitana Eliotta były niemal tak przykre do zniesienia jak poczucie zagrażającej zguby.

V

Podszedłszy tuż do Whalleya, kapitan Eliott wygłosił burkliwie:

– Co ja słyszę, Whalley! Czy to prawda, że sprzedajesz swój bark?

Kapitan Whalley odwrócił wzrok od Eliotta i powiedział, że to się już stało – pieniądze zostały wypłacone dziś rano. Eliott pochwalił gorąco krok tak rozsądny. Wyjaśnił, że jedzie do domu na obiad; po drodze wysiadł z dwukółki, aby rozprostować nogi. Sir Fryderyk wygląda dobrze, choć kończy już swoją karierę. Prawda?

Kapitan Whalley nie miał o tym żadnego zdania; zauważył tylko, że wyminęło go lando.

Komendant portu, zagłębiwszy ręce w kieszeniach alpakowej kurtki, krótkiej i czarnej, nieodpowiedniej dla człowieka w jego wieku i o jego wyglądzie, kroczył godnie, z lekka utykając, przy czym głowa jego sięgała ledwie do ramienia kapitanowi Whalleyowi, który szedł swobodnie, patrząc prosto przed siebie. Byli dawniej w zażyłych stosunkach koleżeńskich, prawie w przyjaźni. W czasach, kiedy Whalley dowodził odnowionym „Kondorem”, Eliott był kapitanem na „Gołębiu”, statku niemal równie sławnym, należącym do tych samych armatorów; a gdy powstał urząd komendanta portu, Whalleya uważano za jedyne poważnego kontrkandydata Eliotta. Ale kapitan Whalley, wówczas w pełni męskich lat, był zdecydowany służyć tylko własnej sprzyjającej mu fortunie. W dalekich stronach świata, gdzie nie zasypiał gruszek w popiele, ucieszył się z wiadomości o powodzeniu kolegi. Jego zdaniem szorstki Ned Eliott miał w sobie pewną światową giętkość, która mogła mu się przysłużyć na tego rodzaju urzędowym stanowisku. A w gruncie rzeczy tak się zawsze od siebie różnili, że gdy idąc z wolna znaleźli się przed katedrą u końca alei, kapitanowi Whalleyowi nie przeszło nawet przez głowę, iż mógłby zajmować miejsce tego człowieka i mieć byt zapewniony do końca swych dni.

Świątynia stała w uroczystym odosobnieniu, umieszczona wśród zbiegających się alei olbrzymich drzew, jakby po to, aby ludziom zażywającym odpoczynku nasuwać poważne myśli o niebie; jej gotycki portal o zamkniętych drzwiach zwrócony był do blasków i wspaniałości zachodu. Szła w rozecie nad łukiem żarzyły się jak palające węgle w głębokich wyżłobieniach kamiennego koła. Dwaj mężczyźni stanęli naprzeciw siebie.

– Powiem ci, co teraz powinni zrobić – burknął nagle kapitan Eliott.

– No?

– Powinni tu przysłać prawdziwego lorda z krwi i kości, kiedy sir Fryderyk ustąpi. Jak myślisz?

Kapitan Whalley rzekł obojętnie, że jego zdaniem lord z krwi i kości może być równie odpowiedni na tym stanowisku jak i ktokolwiek inny. Lecz Eliott był innego zdania.

– Nie, nie. Tutaj wszystko idzie jak w zegarku. Nikt nic popsuć nie może. Akurat dla lorda – burczał krótkimi zdaniem. – Popatrz na wszystkie zmiany, jakie zaszły w ciągu naszego życia. Potrzeba tu lorda. W Bombaju lorda już mają.

Raz albo dwa razy na rok bywał Eliott na obiedzie w pałacu rządowym – wielookiennym gmachu z arkadami, zbudowanym na wzgórzu wśród ogrodów i alei. A niedawno obwoził księcia krwi swoją motorówką komendanta portu i pokazywał ulepszenia portowe. Przedtem zaś „pofatygował się” osobiście, aby wybrać dogodne miejsce dla książęcego jachtu. Zaproszono go na jacht, na drugie śniadanie. Uczestniczyła w nim sama księżna – wysoka kobieta o czerwonej twarzy i skórze spalonej przez słońce; cera zupełnie zniszczona, dużo wdzięku i uprzejmości. Płynęli tędy do Japonii...

Wykrzykiwał te szczegóły ku zbudowaniu kapita Whalleya, milknąc od czasu do czasu, aby wydać policzki, jakby w poczuciu własnego znaczenia; wysuwał raz po raz grube wargi, przy czym tępy, purpurowy koniec jego nosa zdawał się nurzać w mleku wąsów. Tak, wszystko idzie jak w zegarku; byle jaki lord mógłby z tym sobie poradzić; żadnych kłopotów poza wydziałem marynarki – poza wydziałem marynarki, powtórzył i prychnął głośno; potem zaczął opowiadać, jak to przed

paru dniami konsul generalny jej królewskiej mości we francuskiej Kochinchinie¹⁵ telegrafował do niego urzędowo, prosząc, aby znalazł wykwalifikowanego człowieka na dowódcę okrętu z Glasgow, ponieważ kapitan tego okrętu zmarł w Sajgonie.

– Posłałem o tym słówko do oficerskich kwater w Domu Marynarza – ciągnął dalej, kulejąc, rzekłbyś, coraz wyraźniej, w miarę jak irytacja wzrastała w jego głosie. – Pełno w tym Domu Marynarza, że ani szpilki wetknąć. Dwa razy więcej ludzi niż posad w tutejszej marynarce handlowej. A wszyscy ostrzą sobie zęby na jakąś łatwą pracę. Dwa razy więcej ludzi niż posad – i – co ty na to powiesz, Whalley...

Urwał; jego zaciśnięte pięści wyprężyły się tak silnie w kieszeniach, że, zdawało się, przebija je lada chwila. Kapitan Whalley westchnął mimo woli.

– Co ty na to powiesz? Pomyślałby kto, że będą sobie tę posadę wydzierać. Otóż nic podobnego. Oni boją się wracać do kraju. Miło jest leżeć tu sobie w cieple na tarasie i wyglądać jakiejś pracy. A ja tymczasem siedzę i czekam w biurze. Pies z kulawą nogą nie przyszedł! Co oni sobie wyobrażali? Że w dalszym ciągu będę siedział jak jaki bałwan nad telegramem konsula? Jeszcze czego! Przejrzałem ich listę, wysłałem parę słów do Hamiltona – najgorszy wałkoń z nich wszystkich – i po prostu kazałem mu jechać. Zagroziłem, że każę stewardowi z Domu Marynarza wyrzucić go na zbity łeb. I – proszę ja ciebie – oświadczył mi, że posada nie jest dla niego dość dobra. A ja mu na to: „Mam tu parę notatek o panu. Przybył pan przed osiemnastu miesiącami; przez ten czas nie pracował pan i sześciu miesięcy. Zadłużył się pan w Domu Marynarza i pewno liczy pan na to, że w końcu wydział marynarki rachunek zapłaci. Nieprawdaż? I tak się też stanie; ale jeśli pan nie skorzysta z tej okazji, odeślę pana do Anglii za bezpłatnym biletem na pierwszym lepszym parowcu, jaki się nawinie. Żebak z pana po prostu. A my tu białych żebraków nie potrzebujemy”. Napędziłem mu strachu. Ale pomyśl tylko, ile musiałem się nakłopotać.

– Nie miałbyś żadnego kłopotu – rzekł Whalley prawie mimo woli – gdybyś był posłał po mnie.

Kapitana Eliotta ogromnie to ubawiło; szedł i trząsał się po prostu od śmiechu. Lecz nagle spoważniał. Przemknęło mu przez myśl niejasne jakieś wspomnienie. Czy nie opowiadano podczas krachu Travancore and Deccan Comp., że biedny Whalley został do cna splukany? „Musi mu się kiepsko powodzić”, pomyślał i natychmiast rzucił spod oka spojrzenie na towarzysza.

Lecz Whalley patrzył prosto przed siebie, uśmiechając się powściągliwie z głową podniesioną wysoko, co jest niedopuszczalne u człowieka, który nie ma grosza przy duszy. Eliott uspokoił się. Bzdury. Nie mógł stracić wszystkiego. Ten statek był tylko jego namiętnością. I przyszło Eliottowi na myśl, że człowiek, który mówi, iż rano zainkasował znaczną chyba sumę pieniędzy, nie wyjedzie z prośbą o jakąś drobną pożyczkę. Kapitan Eliott do reszty się uspokoił. Zapadło jednak długie milczenie; nie wiedząc, jak nawiązać rozmowę, Eliott burknął półgłosem:

– My starzy powinniśmy już sobie odpocząć.

– Niejeden wolałby umrzeć na posterunku – rzekł niedbale kapitan Whalley.

– Tereferę! Czyżbyś nie miał dość tej całej parady? – wymruczał Eliott z kwaśną miną.

– A ty?

O tak. Kapitan Eliott ma już tego po uszy. Ale trzyma się tak długo swego urzędu, bo chciałby dostać możliwie wysoką emeryturę, nim wróci do kraju. Choć i tak będzie to wprost niedostatek – emerytura zaledwie uchroni go przed przytułkiem. I przecież on ma rodzinę. Trzy córki, Whalley wie o tym. Tu Eliott dał „kochanemu Harry'emu” do zrozumienia, że te trzy córki są dla niego źródłem największych trosk i kłopotów. Ledwie człowiek nie zwariuje.

– Dlaczego? Cóż one takiego robią? – zapytał z roztargnieniem trochę rozśmieszony Whalley.

– Robią? Właśnie, że nic nie robią. W tym cała rzecz. Tenisa i czytanie głupich romansów od rana do wieczora.

¹⁵ *Kochinchina* – francuska kolonia na południu obecnego Wietnamu. [przypis edytorski]

Gdybyż choć jedna była chłopcem! Ale same córki! I jakby na złość ma się wrażenie, że przywoici młodzi ludzie znikli z powierzchni ziemi. Kiedy rozejrzeć się w klubie, widzi się bandę zarozumiałych świszczypałów, egoistów, którym ani w głowie uszczęśliwić porządną dziewczynę. Skrajne ubóstwo zagląda Eliottowi w oczy z powodu całej tej bandy, którą będzie miał na karku. Rozkoszował się dawniej myślą, że wybuduje sobie na wsi mały domek – w hrabstwie Surrey – aby dożyć tam swoich dni, ale zdaje się, że nic z tego...

Wytrzeszczone oczy Eliotta spojrzały w górę na twarz kolegi z wyrazem takiego stroskania i niepokoju, że kapitan Whalley litościwie pokiwał nad nim głową raz po raz, powstrzymując jakąś niezdrową ochotę do śmiechu.

– Sam chyba wiesz, co to jest, Harry. Od tych córek głowa człowiekowi puchnie.

– Hm! A mojej córce powodzi się dobrze – wyrzekł powoli kapitan Whalley, wpatrzony w perspektywę alei.

Kapitan Eliott oświadczył, że miło mu to słyszeć. Ogromnie miło. Pamięta ją dobrze. Ładna była dziewczyna.

Kapitan Whalley, idąc niedbałym krokiem, potwierdził jakby we śnie:

– Tak. Była ładna.

Korowód pojazdów zaczął się rozpraszać.

Jeden po drugim opuszczały szereg i odjeżdżały kłusa, wprowadzając do wspaniałej alei ruch i ożywienie; lecz wkrótce majestatyczna samotność znów oładnęła prostą, szeroką ulicą. Indyjski chłopak stajenny w białym ubraniu stał przy burmańskim kucu, zaprzężonym do lakierowanej dwukółki czekającej u zakrętu; a wszystko to razem nie wydawało się większe niż dziecinna zabawka zapomniana pod wyniosłymi drzewami. Kapitan Eliott pokuszył się w stronę tego zaprzęgu, jakby chciał wejść do dwukółki, ale się rozmyślił; trzymając lekko rękę na dyszlu, porzucił temat swej pensji, swych córek i swego niedostatku, przechodząc na drugi jedynie interesujący temat pod słońcem – na wydział marynarki, na ludzi i statki w porcie.

Wyliczał w dalszym ciągu wszystko, czego się od niego domagają; gruby jego głos brzmiał sennie w cichym powietrzu jak uporczywe brzęczenie olbrzymiego trzmiela. Kapitan Whalley nie wiedział, jaka siła czy też słabość powstrzymuje go od pożegnania się z Eliottem. Był jakby zanadto zmęczony, aby zdobyć się na ten wysiłek. Dziwne to. Dziwniejsze niż wszystkie wywody Neda. A może poczucie bezczynności tak Whalleya obezwładniło, że stoi i przysłuchuje się tym historiom? Rzeczy naprawdę istotne nie obchodziły nigdy Neda Eliotta; i stopniowo wydało się kapitanowi, że odkrywa w grubym, zasapanym, dudniącym basie coś z czystego, wesołego głosu młodego kapitana „Gołębia”. Whalley był ciekaw, czy on także zmienił się do tego stopnia, i nagle odniósł wrażenie, że głos jego dawnego kolegi nie zmienił się tak dalece – że i człowiek jest ten sam co dawniej.

Nie był złym chłopcem ten miły, wesoły, życzliwy Ned Eliott; znał dobrze swój fach i zawsze trochę blagował. Kapitan Whalley pamiętał, że Ned śmieszył bardzo jego żonę. Czytała w nim jak z nut. Gdy się zdarzyło, że „Kondor” i „Gołąb” znalazły się w tym samym porcie, mówiła często mężowi, aby przywiózł kapitana Eliotta na obiad. Od tamtych dawnych czasów rzadko się spotykali. Może najwyżej raz na pięć lat.

Kapitan Whalley patrzył spod białych brwi na tego człowieka i nie mógł się zdobyć na zwierzenie mu się w tej ciężkiej chwili, a tymczasem tamten wylewał wciąż przed nim najpoufniejsze uczucia, równie daleki od swego kolegi, jakby się znajdował na szczycie wzgórza odległego o milę.

Okazało się, że kapitan Eliott jest w sytuacji dość kłopotliwej z powodu parowca „Sofala”. W ostatnich czasach wszystkie trudności w porcie spadały mu na kark. Jak oni dadzą sobie radę, gdy kapitan Eliott odejdzie stąd po upływie półtora roku! Pewno dostaną na jego miejsce jakiegoś dymisjonowanego oficera marynarki, który nie będzie się na niczym znał i o nic nie zadba. „Sofala” jest statkiem przybrzeżnym utrzymującym handlowe stosunki z miejscowościami leżącymi na północ, aż do Tenasserim włącznie; ale cała trudność w tym, że nie można znaleźć kapitana, który by go poprowadził. Nikt nie chce się podjąć dowództwa. Kapitan Eliott nie może oczywiście rozkazać, aby

ten czy ów człowiek podjął się jakiejś pracy. Można nadużyć raz swojej władzy na żądanie konsula generalnego, ale...

– Cóż temu statkowi brakuje? – przerwał kapitan Whalley spokojnym głosem.

– Ależ nic. To porządny stary parowiec. Jego właściciel był dziś u mnie w biurze i włosy sobie z głowy wyrывał.

– To człowiek biały? – spytał Whalley z zainteresowaniem.

– Tak twierdzi – odrzekł kapitan Eliott z pogardą – ale nawet jeśli jest biały, to tylko po wierzchu. Powiedziałem mu to w żywe oczy.

– Więc kto to taki?

– On jest mechanikiem na tym swoim parowcu. Teraz widzisz, jak sprawa stoi!

– Tak – rzekł kapitan Whalley w zamyśleniu. – Mechanik. Rozumiem.

Jak się stało, że ów człowiek był jednocześnie właścicielem parowca, to cała historia. Przybył jako trzeci mechanik na statku angielskim przed niespełna piętnastu laty – kapitan Eliott pamiętał to dobrze – i został wydalony wskutek paskudnej kłótni ze swym szyprem i ze starszym mechanikiem. Na statku byli wprost zachwyceni, że się go pozbyli, bo pragnęli tego dopiąć za wszelką cenę. Typ buntownika. No i pozostał tutaj. Nudziarz straszliwy; ledwie się zaokrętował, już był znowu z powrotem w porcie, nie mógł nigdzie zagrzać miejsca: przeszedł chyba przez maszynownię wszystkich statków należących do kolonii.

– No i zgadnij, co się w końcu stało, Harry! – rzekł nagle kapitan Eliott.

Kapitan Whalley, który był zatopiony w myślach, jakby coś w pamięci obliczał, drgnął z lekka. Nie, doprawdy, że zgadnąć nie może. Ochrypli głos Eliotta zabrzmiał głucho i dobitnie: człowiek ten wygrał drugi z rzędu wielki los na manilskiej loterii. Wszyscy mechanicy i oficerowie ze statków grali na tej loterii. Na tym punkcie mieli wprost bzika.

Każdy się teraz spodziewał, że ten bałwan zabierze się do kraju ze swymi pieniędzmi i na koniec pójdzie do diabła. Ale gdzież tam. Zdarzyło się, iż parowiec „Sofala”, zbyt mały i nie dość nowoczesny na handel, którym się zajmował, został wystawiony na sprzedaż, a jego właściciele zamówili nowy statek w Europie. Wówczas ów mechanik zdecydował się w mig i kupił „Sofalę”. Dopiero gdy już miał własny statek, przewróciło mu się w głowie (bywa tak, jeśli na człowieka spadnie większa suma pieniędzy), choć dotychczas żadnych oznak tego rodzaju nie zdradzał. Oszalał po prostu; wywijając laseczką wpadł w kapeluszu na bakier do wydziału marynarki w sprawie jakiegoś transportu i rozpowiadał każdemu urzędnikowi z osobna, że nikt go już ze statku wyrzucić nie może. Teraz przyszła kolej na niego! Nie ma nad sobą żadnego zwierzchnika i nigdy już zwierzchnika mieć nie będzie. Puszył się, spacerował buńczucznie między biurkami i trząsał się przy tym jak liść, a mówił tak głośno, że nikt nie mógł pracować i wszyscy w dużym pokoju patrzyli z otwartymi ustami na jego błazeństwa. Potem widywano go, jak biegał z rozognioną twarzą po bulwarach w ciągu najgorętszych godzin dnia, przypatrując się z różnych punktów swemu statkowi; zdawało się, iż będzie zatrzymywał wszystkich znajomych tylko po to, aby oznajmić, że nie ma już nad sobą nikogo; nabył statek i nikt na świecie nie wyrzuci go z jego własnej maszynowni.

Choć kupno „Sofali” było interesem korzystnym, pochłonęło prawie wszystkie pieniądze z wygranej. Massy nie zostawił sobie kapitału, którym by mógł obracać. Nie miało to jednak większego znaczenia, albowiem dobrze się wówczas działo przybrzeżnym parowcom handlowym; nie istniały jeszcze lokalne floty kolonialne, założone później przez kilka angielskich firm armatorskich dla obsługi głównych linii. Później owe floty wybierały oczywiście wszystkie rodziny z ciasta, niebawem zaś banda obmierzłych statków niemieckich skierowała się na wschód od Kanału Sueskiego i zgarnęła wszystkie okruchy. Myszkowała, obniżając frachty¹⁶, wzdłuż wybrzeży i między wyspami jak stado rekinów czyhające, aby im coś spadło do paszcz.

¹⁶ *fracht* – opłata za transport towarów. [przypis edytorski]

Wówczas stare dobre czasy minęły bezpowrotnie; już od lat parowiec „Sofala” ledwie wiązał koniec z końcem. Kapitan Eliott uważał za swój święty obowiązek pomagać angielskiemu statkowi, by nie pracował ze stratą; ale było jasne, że jeśli z powodu braku kapitana „Sofala” zacznie opuszczać podróże, straci bardzo prędko swój handel. A cała trudność leżała w tym, że z Massym niepodobna było wytrzymać.

– Od razu przewróciło mu się we łbie – wyjaśnił Eliott. – Robił się coraz nieznośniejszy. Przez trzy ostatnie lata zmienił jedenastu szyprów; wypróbował ich tu wszystkich co do jednego, poza kapitanami regularnych linii. Przestrzegałem go, że sobie nawarzy piwa. A teraz, oczywiście, nikt nie chce nawet spojrzeć na „Sofalę”. Wezwałem paru szyprów do biura i mówiłem z nimi, ale odpowiedzieli, że nie ma celu zaciągać się na statek tylko po to, żeby przez miesiąc prowadzić psie życie i zostać wylanym u końca pierwszej podróży. Massy oświadczył mi naturalnie, że wszystko to bzdury, że już od lat intrygowano przeciwko niemu, a teraz spisek wybuchł. Ta wstrętna banda marynarzy z portu sprzysięgła się, żeby go upokorzyć, ponieważ jest mechanikiem

Kapitan Eliott zachichotał chrypliwie:

– I rzeczywiście, niech on opuści jeszcze parę podróży, a nie będzie miał już w ogóle po co się fatygować. Nie dostanie żadnego ładunku od dawnych klientów. W dzisiejszych czasach zbyt wielka jest konkurencja; ludzie nie pozwolą, aby ich towar poniewierał się dlatego, że jakiś statek nie przychodzi, kiedy go oczekują. Widoki są złe dla Massy'ego. Przysięga, że się zamknie w swojej kajucie i raczej umrze z głodu, niż sprzeda statek – nawet gdyby kupiec się trafił. A to wcale nie jest prawdopodobne. Nawet Japończycy nie daliby za ten parowiec sumy, na którą jest ubezpieczony. To zupełnie co innego niż sprzedaż żaglowca. Parowce nie tylko się niszczą, ale i starzeją się pod względem konstrukcji.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.